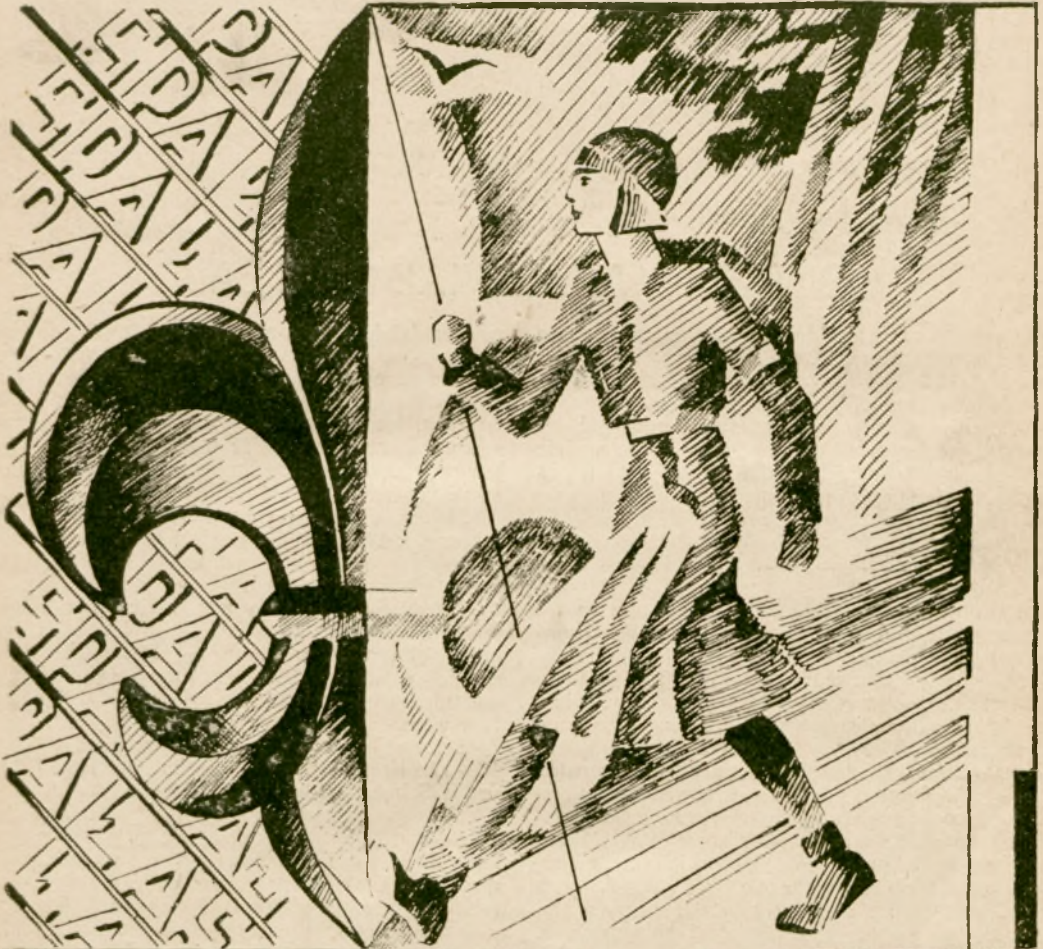


2000
357

DZIS



WYDZIAŁ
1933
ROK XII
NUMER I
KRAKÓW

WITRO

MIESIĘCZNIK
DLA MŁODZIEŻY

I. Sofiszczenko

SKRZYŃKA WYWIADOWCZA.

Często zwracacie się do nas o radę, jakie w życiu wybrać zajęcie, bądź idee, bądź praktyczne. Moc obowiązków woła o chętnych robotników na każdej piędi ziemi ojczystej.

Chcemy więc w tym miesiącu podzielić się z wami szczegółami o instytucji, która wydaje nam się bardzo pożądaną dla utykającego u nas przemysłu hotelarsko-pensjonatowego.

Oczywiście zarzutem braku umiejętności nie obejmujemy kilku poważnych i zasłużonych domów w wielkich miastach i uzdrowiskach. Chodzi nam zwłaszcza o prowincję, o setki will a ostatnio i dworców. To jeszcze przeważnie gąszcz prymitywnie, dorywczo skleconych letnisk i zimowisk bez komfortu, bez wygod, celowości urzążeń, a często i porządku.

Otóż, aby zapewnić turystom wygodny, dłuższy lub chwilowy pobyt w zakładach, „Izba przemysłowa” w Krakowie otworzyła dwuletnią kodyfikacyjną szkołę hotelarską przy ul. Karmeliczej 34. Wpisowe wynosi 15 zł., opłata miesięczna 43 zł, co daje prawo korzystania w zakresie 36 godzin tygodniowo z nauki, która obejmuje: 1) trzy obce języki, 2) przedmioty komercyjne: rachunki kupieckie, korespondencję, księgowość, ruch hotelowy, 3) przedmioty techniczne: towaroznawstwo, pisanie na maszynach, geografję gospodarczą, kuchnię hotelową, 4) przedmioty handlowe: handel, towaroznawstwo.

To jest zakres studjów roku 1-go. W drugim roku prócz wymienionych przedmiotów, rozsze-

rza się działu wzorowe biuro hotelowe, reklamę nowoczesne instancje chotelowe, architektoniczne i elektryczne, geografję turystyczną, przemysł uzdrowiskowy i turystyczny, higienę, kuchnię dietetyczną, prawo i ekonomję, obywatelstwo i prawo samorządowe, skarbowość hotelową. Uzupełniają ten program ćwiczenia praktyczne w kuchni, restauracji, bufecie, piwnicy.

By zapewnić należyte wykorzystanie nauki, wymagane jest od kandydatek przynajmniej 6 klas gimnazjum lub równorzędnego zakładu. Co do wieku niema ograniczeń.

Uczniowie korzystają z wszelkich ulg kolejowych. Liczba młodzieży jest około 40 na każdym kursie. Początek wykładów — 1 września. Przy wpisie należy przedłożyć: metrykę urodzenia, ostatnie świadectwo roczne, własnoręczne curriculum vitae.

Sekretariat szkoły urzęduje między godziną 10—12. Konto P. K. O. „Tow. Szk. Hot. i Dyrekcja Szkoły Nr. 410.951”.

Oto wiadomości dla naszych czytelników i sympatyków o zakładzie, który, mamy nadzieję, pokona lwią część dotkliwych braków, dokuczających nam i obcym w czasie podróży. Pozostaje tylko ochotnikom zaopatrzyć się w białe fartuchy, płaszcz i stanąć do szeregu przyszłych wytrwałych gospodarzy wielkiego majątku narodowego, jakim jest niezawodnie przemysł zdrojowy, hotelarski i turystyczny.

Informator.

Odpowiedzi od Redakcji.

Do Wydawnictwa św. Wojciecha Książki nadane nam do recenzji częściowo tylko w tym numerze omawiamy, resztę nie omieszkamy zrecenzować w następnym numerze.

Wisława — o „szydełkarstwie” zmuszone byliśmy opuścić w numerze czerwcowym, gdyż, jak

Szanowna Pani spostrzegła całkowicie był poświęcony żalobie narodowej, zamierzamy jednak przed zimą umieścić go.

O śp. Romanowiczównie wspomnienia ukażą się niebawem.

„**Neoz**”. Lwów. Gimn. 643. Wiersze przysłyż za późno. Narazie więc idą do teki.

P. Janina Unkiewicz. Karteczka przyszła za późno. —

102209



DZIS I JUTRO

Pismo dla młodzieży.

Rok XII.

Kraków, wrzesień 1935.

Nr. 1

ECHA Z GÓR

Wielu ich tam było...

W dniach od 4. do 11. VIII rozbrzmiała Polska cała wieściami z „Tygodnia Gór“ obchodzonego radośnie i uroczystie w najpiękniejszej dolinie karpackiej — w kotlinie zakopiańskiej.

Zakopane już na kilka dni przed rozpoczęciem tego tygodnia ustroiło się w jasne wstąż-

A jako gospodarz zacny i gościnny postarało się Zakopane, coby tyła ludu nie znudziło się w jego siedzibie. Otwarto szereg wystaw i kiermaszów i ukazało zdumionym oczom tłumów przedziwne wyroby góralskie.

Paradował więc sobie daleki wędrowiec, wytrzeszczał ślepią na smakowite owcze serki, na



Zakopane wita P. Prezydenta R. P.

ki i girlandy z elektrycznych żarówek, wzniosło bramę triumfalną, a potem witało serdecznie brać góralską z całych Karpat i Podkarpacia, gości ze wszystkich zakątków Polski, a nawet przybyszów z za morz.

hafty i kilimy, na rzeźby artystycznie wykonane, skóry pięknie wyprawne i... myślał sobie pewnie: „osiółkowi w żłoby dano“...

A innemu obcemu gorzały aż policzki, kiedy patrzył na urodne, podhalańskie dziewczęje: hu-

Biblioteka Jagiellońska



1002114273

214 1



Górale zakopiańscy na Krupówkach.

cułki, jasne kiej pszenica, kraśne dziewczyny Łemków, śwarne Ślązaczki. I zerkał zazdrośnie, jak to onych dziewczuszek towarzysze-górale pięknie na stadjonie tańcujom a śpiewajom. Jak nie miał zazdrośnie spoglądać, kiej onby tak grać a tańcować nawet za sto dukatów nie wydolił! Hale!... więc żadno góralko nie увидziała nawet jego rozradowanej gębusi.

Inny się nalazł cudzy, co mu poezja w głowę wlała, a artystycznych uciech mu było trzeba — ten szedł słuchać, gdy p. Wermińska cudnie w „Halce“ pienia wiodła, i wzdychać a żałośnie łzy ronić, gdy do potoka leciała się topić. Kto zaś gorąc miał w duszy wielki i umiłowanie gór ogromne, darł się na zimne granie i tam swobodnie oddychał.

Kto zaś w mieście wolał zostać, radował się mnogością amatorów-fotografów, co kieby kpy pętali się w ulicy i pędzili na ślepo, byle kiego kosmatego barana, czy dziewczuchę w gorsecie schwytać na oną kliszę.

Ale najpiękniej to było w Zakopanem ostatniego dnia, kie to zjechał p. Prezydent ze żoną i dygnitarzami, by sie na naród góralski podziwić. Dobrze zaczęli on dzień Mszą świętą na Jaszczurówce. Ks. kanonik Humpola wprost ze serca gadał, że góry miłował Pan nasz Jezus i do góry winno dążyć serce grzesznika.

A potem mówił długo gen. Galica, co to

o „Tygodniu Gór“ pierwszy pomyślał. Pogoda się zmaistrowała, deszcz pochłapywał, więc trochę źle było słycać. Ale to można było wyrozumieć, że górale wszyscy, jak tam byli, zebrali się powinni w kupę i pracować porządnie, co by się wzbogacili a nie marnieli, co by owce pięknie mieli hodowane i woły. I prosił p. Prezydenta i Rząd, żeby umiłowali górali, jak ich na wzór królów polskich miłował marszałek Piłsudski, bo góral Polskę serdecznie kocha i za nią się bił.

Więc p. Prezydent uśmiechnął się jak ojciec, opiekę dać przyobiecał i przyjął dary od całego Podhala. Wraz się zaczęła defilada i szli w niej odświętnie przybrani górale z polskich gór: od Czarnohory po Beskidy Śląskie, a za nimi... 5000 owiec.

Cudowali się też ludzie na one owce, jakby nigdy takich zwierzów nie widzieli.

I w takim zadziwieniu rozeszli się po mieście szukać nowych pociech, choćby oglądając wieczorem reflektory i znicze, co na całe Podhale światło niesły.

Tyle było tych gości, że przed nocką ino część do domów odjechać mogła. Ale ci, którzy zostać dłużej musieli nie byli smętni i mówili, że chętnie po wiele razy w góry wrócą, że innych w nie przywiodą, że zaczną góralską propagandę.

A niech zaczną!... Bo to i oni się nacieszą i zdrowia popod skalami nabiorą i góral se zarobi, a może znowu jakich 800 Podhalańców będzie się mogło za owe pieniądze po Polsce rozjechać, jak to po tych dniach było.

Jan'na Unkiewicz.



Brama triumfalna w Zakopanem w „Tygodniu Gór“.



Orkiestra góralska w parku.



Tatrzańska baśń.

*W przecznych brzask, w słoneczne, letnie rano
zaczęłam snuć tatrzańską swą legendę;
noce i dnie w uroczną baśń oprządłam,
przedziwną baśń tęczami malowaną.*

*Ze słońca smug, z wieczornych świateł zorzy,
Z przebudzeń w świt i Pięknem zaczarowań,
z tajemnych snów z bezkresnych umiłowań
bujny się mit na zrębach skał ułożył.*

*Lecz kiedym z gór ułudy chłoną chwilę,
zjawił się król, wierchowej pan krainy,
serce mi wziął i w skalnej zakół bryle.*

*Próżnoby dziś w dalekie światy ruszał,
wróci mnie los w tatrzańskie rozpadliny,
gdzie wzywa mnie zaklęta moja dusza...*

Janina Unkiewicz.



Pan Prezydent R. P. Dr. Ignacy Mościcki z Małżonką — odbiera defiladę na Jaszczurówce.

Dni tatrzańskie.

Ze wszystkich stron Polski ściągnęły tu do Zakopanego niezliczone rzesze gości. Zabrakło pomieszczeń i ludzi kwaterowano w Poroninie i Białym Dunajcu.

Zakopane przygotowało się jak mogło: Wzdłuż ulic powbijano słupy ozdobione pięknie wstążkami góralskimi, połączone girlandami ze świerków. Wybudowano kilka bram powitalnych, jakich nie powstydzilby się Rzym witający Cezara. Bo czyż zdobyłby się choćby Cicero, na piękniejszy okrzyk: — po jednej stronie »Witajcie« z dwoma wykrzyknikami, po drugiej zaś »Wracajcie« z trzema. Iluminowano wystawy, porozwieszano transparenty z żarówek, przyozdobiono domy w zieleń i flagi, a co najważniejsze, wymieciono nawet ulice. Domy, które ze względu na swój wiek sędziwy chyłą się już do grobu, udekorowano młodemi drzewkami i podparto w najślabszych miejscach. Napewno niejeden z nich jęknął jak Czarniecki przy wręczaniu buławy: »zapó/no« i runął jak długi, a na niego posypały się kwiaty, pod którymi zniknął jak cień... Na Wilczniku zbudowano specjalne podium z desek przeznaczone na tańce regionalne i koncerty orkiestr wojskowych.

Wszystko to jednak znikło wobec Krupówek. Trzeba być pesymistą najgorszego gatunku, żeby powiedzieć, że Krupówki nie były piękne!

Nietylko ludzie przygotowywali się na tatrzańskie uroczystości. Giewont już od tygodnia rozpoczął swoją toaletę. Zażył najpierw, tak przez siebie ulubionej kąpieli we mgle, potem przystroił w nową zieleń i szarotki, umiejętnie pozatykane między głazami, wiedząc, że wystąpi w roli »panny młodej«. — Żleby było wprawdzie, gdyby wszystkie panny młode były w jego wieku, pamięta bowiem czasy Adama i Ewy, niemniej jest w dużych pretensjach.

Pierwszego dnia uroczystości o g. 8. rano odezwały się pobudki orkiestr wojskowych. O 9-tej odprawiono w kościele parafjalnym Mszę św., poczem ruszył ulicami miasta pochód zdążający na Wilcznik, który otwierała banderja góralska na koniach, za nią orkie-



stra, poczem grupy regionalne w przebarwionych strojach. Byli Huculi, Łemkowie, Bojkowie, Żywieczanie, górale ze Śląska Cieszyńskiego, Spiszu, Orawy i t. d. Na Wilczniku przyjęto gen. Kasprzyckiego i wojewodę Raczkiewicza chlebem i solą, poczem nastąpiło przecięcie wstęgi.

Ogólną uwagę zwracali na siebie Huculi, mile prezentowali się Krakowiaci, najestetyczniej wyglądali gospodarze, t. j. górale tatrzańscy, w swych białych wyszywanych guńkach, spodniach ozdobionych parzenicami i szerokich z wielkiem piórem kapeluszach.

Na tańcu i pieśni nie zbywało w Zakopanem. Codziennie popołudniu przybywały na Wilcznik grupy góralskie z własną muzyką, i tutaj, wobec gości urządziły swoje popisy, tańce i widowiska regionalne.

Przybyła także do Zakopanego kompanja wojska, przywożąc reflektory przeciwlotnicze do iluminacji Tatr. Podobno Czesi dowiedziawszy się o tem, przelękli się i omal nie urządzili mobilizacji wojska nad polską granicą. — Starzy górale z dalszych osiedli twierdzili, że nadchodzi burza, bo »jus sie łysko« inni — że zbliża się koniec świata!

Punkt kulminacyjny artystycznych rozrywek stanowiło odegranie na stadionie opery »Halka« pod gołem niebem, z naturalną panoramą Tatr oświetlonych reflektorami, wobec 10.000 widzów.

Na zakończenie uroczystości przybył Pan Prezydent, Ignacy Mościcki, który o dziewiętej przyjechał wraz z małżonką do Jaszczurówki na Mszę św. odprawioną w stylowej kapturce góralskiej. Po Mszy św., kazaniu, ks. kan. Humpoli i przemówieniu generała Galicy, nastąpiła defilada grup regionalnych i przepędzenie 5000 owiec zebranych z hal tatrzańskich i wręczenie panu Prezydentowi darów, jak serki, koronki, torby i t. d. Złożenie wieńca przed pomnikiem Chałubińskiego zakończyło uroczystości.

Tadeusz Polcyn — Zakopane.



Strzelcy podhalańscy.



Minister wojny, gen. Kasprzycki (w środku) p. Wojewoda Raczkiewicz (na lewo).



Starosta huculski wita narzeczoną.

Ilustracje na str. 4: 1) górale z Nowego Sącza, 2) dziewczęta bojkowskie, 3) dziewczęta z powiatu Stryjskiego.

Hej, góról, jo se góról!..



Jeden z nielicznych Kobziarzy.

Spotkałam go w pociągu, gdy wracał z Zakopanego do Poronina.

— Mróz?!

Spojrzał na pannę zbrudzoną i skurzoną po wycieczce, co tak nań napadła. Ale oczy jego nie były gniewne i czaił się w nich błysk zadowolenia: „znajom me!”

Chytra kobieta wlot to odgadła, zerknęła na kobzę, leżącą na ławce i nuż prosić:

— Gazdo, „dobry“ zagrajcie! —

Popatrzał z fluterną przekorą, ale taką, co to się wie, że w moment zniknie. Wraz wziął do ręki instrument i pogładził z miłością głowę kozicy, co na nim była wyrzeźbiona

— Na Giewont byś chciała, po wierkak latać? Jo wiem!

A zagrać?... Onby zagrał i zaśpiewał i zatańcował nawet, ale może na stacji gniewni będą.

Lecz konduktor, co wylaż z kąta uspokaja:

— Wam wolno grać, gazdo!

Więc uśmiechnął się siwemi oczami; w złotem nabijany pas uderzył i zanucił:

— Hej, góról, jo se góról,
Hej, z pod samiućkik Tater... —

A potem z pewnem namaszczeniem jął miech nadymać. Wnet ostre dźwięki zelektryzowały pasażerów pociągu, którzy kołem otoczyli kobziarza

A on grał i śpiewał, to dumne piosenki o góralskiej swobodzie, to dzikie, zbójcekie, to swawolne o dziewczuszych liczkach i komorach.

Aż czarna kozica wyprężyła smukłą szyję i słuchała swego gazdy i napewno chciała lecieć na Giewont — taki był w onej muzyce górski zew.

Słychać w niej było organowe akordy wichru ze skalnych turni i rzeźwą, ochoczą gędbę potoków, huk mściwej, groźnej lawiny i pieściwy, kojący szmer traw na pastwiskach, dostojny, poważny poszum smrekowych chórów kapłańskich i dzwonki owiec na halach, pokrzyki juhaskie i szerokie biegnące na całe Tatry i Beskidy, na cały świat — góralskie: hej!..

Skończył muzyk, a kobza drgała jeszcze melodją, a kozica nie chciała wrócić z nad przepaści, gdzie zawiódł ją gazda pieśnią, a i jemu grały na twarzy starego orła górskiego dziwne blaski.

Może młodość mu się śniła, gdy poprzez skalne wykroty biegł na szczyty...

Może dziwił się w swej duszy pieśniarza, czemu na jego rodzinnem Podhalu zarzucono grę na kobzie? ... —

Czemu tak niewielu młodych garnie się do muzyki, co sama jedna odtwarza cały świat górskiej baśni i rzeczywistości, — co sama jedna wyraża bezpamiętnie dziką i wolną, a żałośnie tęskną duszę górala.

Janina Unkiewicz.

S P O T K A N I E

Na krynickim Deptaku spotkałem osiołka.

Naokoło przechadzały się barwne tłumy letników i kuracjuszków, piękne panie, często-kroć w przestronnych i powiewnych hajda-

werach, obcisłych na biodrach i w jakichś króciutkich bluzeczkach trykotowych. Przechadzali się brodaczy żydzi w chałatach, snuły się blade panienki, przebiegali gazeciarze, kręcili



Gustaw Morcinek pod lipą rokicińską 18. VIII. 35.

się uliczni fotografowie, słońce było za chmurami, okoliczne lasy szumiały zlekka a z Pawilonu sączyła się słodka melodia Symfonii H-mol Schuberta.

Osiótek zaś kroczył poważnie wśród tłumów, spokojny, dostoyny i zamyślony. Czynił wrażenie statecznego człowieka, który głęboko medytuje nad rozwiązaniem niesłychanej zagadki. Sierść jego była szara, krótka, lśniąca, zapraszająca do pogłaskania dłonią, łeb opuszczony, oczy mądre i jakby lekko kpiące, wdzięczne uszy i piękny chód, lekki, z gracją. Wiódł go na sznurku jakiś srogi obdarty, niemniej od niego zamyślony. Osiótek nosił na grzbiecie reklamę, siłąc się na dociep wątpliwej wartości.

— Tylko ja nie korzystam z osobliwej okazji kupna tego a tego przedmiotu, który można nabyć po takiej a takiej cenie w tym a tym składzie! — taki był sens reklamy.

Zamyślony osiótek ogromnie mi się podobał. Pomyślałem sobie, że podejść do jego obdartego pana i zapytam, czyby mi go nie sprzedał. Pasowałbym go na swojego wiernego przyjaciela, jako że lubię zwierzęta. Pocałowałbym go w mądry łeb, jak tamten naiwny giermek Don Kiszotowy z ilustracji Dorégo. Wtykałbym mu do pyska kęsy chleba, podawałbym mu pachnące siano na dłoni,

poiłbym go w mojej Wiśle, co płynie tuż pod moim domkiem.

Nie uczyniłem tego, a dzisiaj mi żal trochę. Zresztą jego pan nie byłby go sprzedał. Osiótek pracował na swego pana w sposób wzruszający. Oto nie tylko nosił reklamę na grzbiecie, lecz nawet pozwalał sadzać na siebie małe, wystrojone dzieci, a pyskatey fotograf uliczny fotografował je zrecznie. Czasem dzieci płakały i wydierały się do umalowanej mamusi w hajdawerach, czasem zamieniały się w słodkich barbarzyńców i Dyziów z »Ludzi bezdomnych« Żeromskiego, szarpiąc osiółka za uszy lub zgoła za ogon, znęcając się nad nim ku uradowaniu gawiedzi i fotografa, czasem siedziały dumnie na jego grzbiecie i pozujące ze znanstwem fotografowi.

Mojego osiółka spotykałem podczas całego pobytu w Krynicy. Nigdy się nie zmienił. Wciąż był zamyślony i podobny do człowieka, który głowi się nad niesłychaną



Jan Kiepusza z Igo Symem.

zagadką. Oswoiłem się z jego widokiem i nie wyobrażałem sobie Deptaka krynickiego bez jego obecności. Stał się składową częścią urody krynickiej. Gdyby go nagle zabrakło, stanąłbym zdumiony i pytałbym ludzi, co się stało z krynickim osiołkiem, czy aby nie zdechł, lub nie rozchorował się lub nie przeszedł w inne ręce. Żal byłoby mi go bardzo. Dotrzymał mi jednak wiernie towarzystwa, a raczej widoku do końca mojej kuracji. Odchodząc, pożegnałem go w myślach jak starego, mądrego przyjaciela.

Od tamtego spotkania się z osiołkiem na Deptaku rozpoczęła się serja dalszych spotkań.

Spotkałem przedewszystkiem dwóch panów. Jeden z nich stałe wszystko krytykował i wygadywał okropne rzeczy na wszystko, co się tylko znalazło w jego otoczeniu czy świadomości. Wszystko było źle urządzone. I wszystkiemu był winien rząd. Dosłownie wszystkiemu. Kiedy przez kilka dni padał deszcz, chciałem się go zapytać, czy i tutaj nie jest winien rząd, że tak długo pada. Przypuszczam, że byłby mi odpowiedział twierdząco. Drugi, jego towarzysz, był cierpiętnikiem. Nic mu nie chciało smakować przy stole, a pokryjomu kupował kiełbasę i ukradkiem zjadał w parku. Pozatem starał się zaimponować sąsiadom w pensjonacie tem, że budzi się codziennie o godzinie czwartej rano, poczem wypali siedem papierosów na czczo...

— A czy pan potem zasypia?

— Nie!.. — odpowiedział z cierpiącym



Dom wypoczynkowy SS. Urszulanek w Rokicinach.

wyrazem twarzy. — Nie zasypiam, lecz palę dalsze papierosy...

— Ale to panu chyba szkodzi! — zartoskała się wdzięczna sąsiadka w czerwonej bluzce.

— Szkodzi, proszę pani, lecz, proszę pani... ja już taki, proszę pani!..

Jak długo uchodziłem za doktora, a potem za profesora w naszym pensjonacie, tamci dwaj panowie jeszcze mi się kłaniali. Choć w okresie uchodzenia za profesora ukłony ich były trochę powściągliwe. Lecz kiedy wyszła na wierzch okropna tajemnica, że jestem tylko nauczycielem szkoły powszechnej, tamci dwaj panowie spojrzeli na mnie z głęboką pogardą i przestali mi się kłaniać.

— Phi!.. Nauczyciel!.. — posłyszałem lekceważący szept jednego z nich. Ten drugi zaś rozłożył dłonie na znak, że człowiek często może się mylić i często może nie odróżnić nauczyciela szkoły powszechnej od doktora.

Kiedy jednak zezowata Panna Katarzyna, nasza służąca, rozniosła po pensjonacie rewelacyjną plotkę, że ja jestem »takim jednym«, co pisze książki, tamci dwaj panowie znowu zaczęli mi się kłaniać. Nic więc nie straciłem na drugim spotkaniu. Urosłem jedynie teraz w pychę i lekką zarozumiałość, gdyż zostałem pasowany przez tamtych dwóch pa-



Dziewczynki muzykantki w Krynicy.

nów na »pana mistrza«, oraz wciągany był na głębokie rozmowy i rozważania, czy Mickiewicz miał na myśli Marszałka Piłsudskiego czy też generała Hallera, pisząc że »imię jego czterdzieści cztery«. Kiedy jednak powiedziałem, że nie wiem, kogo miał na myśli, przestali mi się kłaniać po raz drugi. Wtedy zmaląłem w sobie i pozostałem już bardzo skromny aż do chwili opuszczenia Krynicy.

Potem spotkałem bardzo sprytnego człowieka.

Oto na Deptaku zauważyłem raz trzy dziewczynki. Najstarsza liczyła może lat 14, najmłodsza 10. Najstarsza niosła pod pachą harmonję, dwie jej siostry skrzypce w ceratowych futerałach. Oglądały się niespokojnie, czy nie widać w okolicy policjanta. Potem spotkałem je poraz drugi w alei Lipowej. Siedziały pod drzewem i grały jakieś krakowiaki. Dwie rzępoliły z wdziękiem na skrzypcach, trzecia, ta najstarsza, dudliła niemniej wdzięcznie na harmonji. Nie chodziło tutaj gapiom o samą muzykę, lecz o widok młodych dziewczyn — muzykantek. Bo był widok zaiste niezwykły i może wzruszający.

— Sieroty jesteśmy! — mówiła starsza między jednym a drugim naciśnięciem klawiszy harmonji.

— Głodne jesteśmy! — zawtórowała druga z rzędu siostra o niebieskich oczach.

— Nie mamy ojca ani matki!.. Zdaleka jesteśmy!.. — zakwiliła trzecia.

I znowu grały, a naokoło zbierał się coraz większy tłum. W pewnej chwili przeciśnął się do dziewczyn jakiś umorusany robociarz, sięgnął do kieszeni kamizelki dwoma palcami, pogrzebał i wyjął pięciogroszówkę.

— Oto macie... moje biedne sierotki! — rzekł i wetknął monetę w nastawioną dłoń najstarszej dziewczyny. Za jego przykładem poszli wszyscy zebrani. Każdy uczuł się bowiem wielce zawstydzony, że biedny robociarz nie skąpi jałmużny, a burzuj jeden z drugim, trwoniący ciężkie pieniądze w Patrii, żałuje grosza biedactwom. Posypały się miedzianki i dziesięciogroszówki i dwudziestogroszówki, jedna pięćdziesięciogroszówka, a jakiś gruby pan, widać tknięty głęboko na sercu, podał dziewczynie złotówkę.

— Masz... a kup sobie chleba... — rzekł

z emfazą i spojrzął po zebranych. Zebrani zaś jęli głowami kiwać i cmokać z zachwytu nad szczodrością grubego pana.

Popołudniu poszedłem na przechadzkę na t. zw. Huzary, gdzie już mało który zachodzi. I jakże się zdumiałem, kiedy znowu spotkałem znajome mi już trzy nieletnie siostry—muzykantki w towarzystwie tamtego robociarza co był pierwszy obdarzył je jałmużną. Cała czwórka siedziała wygodnie na trawie i zjadała kielbasę z ogórkami, pomidorami i chlebem.

— Kto wy jesteście? — zapytałem niemiłe zdziwiony.

— A ja, proszę łaski wielmożnego pana... ja bezrobotny, a to moje córki... Tak se chodzimy po świecie i zarabiamy na chleb, proszę łaski wielmożnego pana! tłumaczył mi bezrobotny z przychlebnym uśmiechem.

— Jaki? Przecież te dziewczyny mówią każdemu, że są sierotami?

— A to już tak trzeba, proszę łaski wielmożnego pana!... Więcej dostaną od dobrych ludzi, proszę łaski wielmożnego pana...

Więc wasze córki grają. A wy?..

Ojciec uśmiechnął się chytrze, aczkolwiek z pewnem zażenowaniem. Widać, coś go tknęło, że przejrzałem jego tajemnicę.

— A ja... proszę łaski... ja się opiekuję... tak zdala, proszę łaski wielmożnego pana...

Mojemu sąsiadowi w pensjonacie, który unosił się nad dobrem sercem biednego robociarza, ofiarującego dziewczynom jałmużnę, i który twierdził, że serce można znaleźć dzisiaj jedynie u tych najbiedniejszych, nie powiedziałem o swoim spotkaniu na Huzarach z tamtą czwórką. Może nie byłby mógł odżalować swoich pięćdziesięciu groszy, które dał dziewczynom, porwany ofiarnością »obcego« biednego człowieka.

Co do mnie zaś, to wcale nie żalowałem tamtego grosika, wręczonego najstarszej dziewczynie. Zaimponowała mi bowiem chytra umowa między niemi a ich ojcem. Widać, że nie trzeba studjować pękatych foljałów psychologii, by osiąść znajomość psychologii, bliźniego.

Odtąd mnożyły się spotkania.

Pominę spotkanie na mostku Kryniczanki tamtej młodej dziewczyny z widokówkami, o twarzy starego wygi, co już z niejednego



Letnicy z domu wypoczynkowego SS. Urszulanek w Rokicinach.

pieca chleb jadał, pominię spotkanie strasznie miłego gazeciarza, roznoszącego ze słodkim wdziękiem pismo, najbardziej opozycyjne w Polsce, a który dziękował za należyłość za gazetę, małopolskiem: — Całuję rączki dobrodzieja!... i oddał się, skacząc na jednej nodze, raz na lewej, raz na prawej, pominię spotkanie z miłym dryblasem nieletnim, który wielkim głosem obwieszczał:

— Kupujcie, kochani państwo, widokówki z Patrią pana Jana Kiepury!... Kupujcie fotografie pana mistrza Kiepury z Igo Symem i Martą Eggerth, żoną pana Jana Kiepury!... Dziesięć Patrij za sześćdziesiąt groszy, jeden pan Kiepura za pięćdziesiąt groszy z Martą Eggerth!... Igo Sym na dodatek!... Kupujcie, kochani państwo, bo pan Jan Kiepura jutro wyjeżdża do Hollywood!... Kupujcie!...

Pominać jednak nie mogę spotkania z temi paniami, które rozsiadły się szeroko na białej ławie przed Pawilonem muzycznym podczas koncertu, a które podczas cudownej jakiejś »Liebeslied« czy »Liebestraum« prowadziły ożywiony i głośny dyskurs na temat płukania jelit. A ja musiałem siedzieć przed nimi i słuchać wszystkich tych intymnych historii z zakresu fizjologii i niedomagań jelitowych u jednej, drugiej i trzeciej pani. Kiedy jednak kapela przeszła do »Pieśni bez słów« Mendelssohna, a tamte panie wciąż jeszcze omawiały swoje dolegliwości w sposób coraz głośniejszy, zbunto-

wałem się i zaprotestowałem w sposób stanowczy dalszemu przeszkadzaniu w słuchaniu koncertu. Poparła mnie milcząca a wdzięczna aprobata sąsiadów, i to było mi jedyną nagrodą za owe bazylijskowe spojrzenia oburzonych pań. Drugą nagrodą był mi widok starej żydówki w peruce, którą wiódl młody jej syn z długimi jasnymi pejsami. Prowadził swą starą matkę pod ramię, powoli, ostrożnie, posadził ją na ławie i stanął obok niej. A stara matka żydówka patrzyła na swego pejsatego synka, jak tylko matka umie patrzeć na swoje dziecko, które jest dla niej wszystkim na świecie. I to było tak piękne, jak tamta »Pieśń bez słów« Mendelssohna.

Następne spotkanie odbyło się w czytelni Domu Zdrojowego. Wszedłem, zapłaciłem 10 groszy wstępnego i rozejrzałem się po obszernej sali. Pod ścianami na pluszowych ławach, za stołami i pod oknami wielu czytających i wielu wertujących pisma ilustrowane. Przez otwarte okna sączył się gwar z Deptaka i muzyka z Pawilonu. W sali zaś była cisza i zapach gazet. W przechodzie zauważyłem młodego oficera, zatopionego w lekturze. W pewnej chwili podniósł głowę i wtedy poznałem w nim kapitana-pilota Bajana.

Drobny, młodzieńczy, o pięknych, ciemnych oczach i ustach dziewczęcych tłumaczył się przede mną, że jego zwycięstwo podczas zeszłorocznego turnieju lotniczego — to nic.

— ... to każdyby potrafił! mówił z rozbijającą skromnością. — Miałem dobry aparat, dużo szczęścia, trochę odwagi, no i to wszystko. Tocy każdy potrafił!..

Powiedziałem, że nie wierzę. Kapitan Bajan uśmiechnął się mile i rozłożył bezradnie małe dłonie.

— Byłem oszołomiony tem swoim jakoby zwycięstwem — opowiadał mi pod wtór muzyki. — Najmilszem było mi jednak przeświadczenie, że spełniłem obowiązki, i że my, polscy lotnicy, godnie reprezentowaliśmy Polskę zagranicą. A potem te listy od młodzieży!..

— Tak. Pan kapitan stał się bożyszczem polskich dzieci. Chłopcy uwielbiają pana kapitana...

— Naprawdę? — uradował się kapitan Bajan. — Tak... dużo otrzymałem listów. Listy były ogromnie miłe...

Na pożegnanie otrzymałem od niego fotografię z dedykacją: — Roztomiłym chłopcom skoczowski — Jerzy Bajan kap. pil.

— Pańscy chłopcy uradują się, prawda?

Przedtem długo jeszcze omawialiśmy wychowawczą, zwłaszcza dla młodzieży śląskiej. Słuchał jakby z radosnem niedowierzaniem.

— To dobrze!.. To dobrze! — powtarzał zadowolony a jego ciemne oczy gorzały jasnem uradowaniem. Chyba teraz kapitan Bajan już nie będzie twierdził, że jego zwycięstwo w turnieju lotniczym — to nic.

Potem moi znajomi wciąż się mnie dopytawali, czy już spotkałem Kiepurę. Kiepury nie spotkałem, lecz spotkałem czarnych, brodatych żydów pod Jego Patrią, zbitych w ciemne gromadki, i głęboko nad czemś w milczeniu medytujących. Czasem ktoś z nich zaszwargotał, drudzy kiwnęli głowami w milczeniu, zapatrzili się w wytworny gmach Patrii i znowu popadli w medytację. O czem oni myśleli, miły Bóg raczy wiedzieć. Gromadki ich zmieniały się, jedni przychodzili, postali, zamyślili się, zaszwargotali i odchodzili, potem przychodzili drudzy i to samo czynili. I tak działo się przez cały dzień, tydzień, miesiąc. Deszcz ich tylko rozpędzał. Ktoś biegle w znajomości żydów tłumaczył mi, że obliczają, ile taka Patria może przynosić dochodu Kiepurze.

Zato młode żydówki i nie-żydówki mdały na widok Kiepury. Wzdychały, oczami przewracały, podchodziły pod płot Patrii i patrzyły w okna rzekomo jego mieszkania. Czekały, skoro wyjdzie. A gdy wyszedł, to rzucały kwiatami, klaskały w dłonie, wzdychały jeszcze głośniej i namiętniej i podbiegały ze świstkami papieru, prosząc o autograf. A Kiepura, zależnie od humoru, rozdawał autografy lub też nie rozdawał. Czasem odpędzał się przed niemi dłonią, jak przed natrętными muchami. Czasem ani nie spozrzał. A czasem spozrzał, uśmiechnął się czarująco i zabójczo, a wtedy jakaś płomien-

nooka żydówka wołała do drugiej równie płomiennoookiej towarzyszki:

— Uj, on na mnie spojrzął!..

— Moja droga, nie mów!.. Bo on do mnie się uśmiechnął!..

Po tych słowach rwała się dozgonna przyjaźń między dwiema przyjaciółkami, rozchodzącemi się w przeciwne strony Krynicy. Kiepurowa Patria zaś błyszczała kryształami, światłami, niklowaną stałą, ogromnemi oknami, marmurami, i tłumem snobów, pragnących się nazajutrz pochwalić w pensjonacie, że byli w Patrii i że widzieli Kiepurę, a kto odważniejszy w blagowaniu, że nawet tańczył z Martą Eggerth.

Potem jeszcze powędrowałem do dalekich Rokicin na przedprożu Podhala. Tam czekało mnie chyba najmiłsze spotkanie. Spotkałem tam świat inny jakiś, jakby nie realny, tak bardzo odmienny od świata krynickiego. Ludzie patrzyli mi w oczy, a oczy ich były jasne i szczerze, mądre i głębokie. Potem zaproszono mnie na krótkie nabożeństwo do kaplicy Domu Wypoczynkowego SS. Urszulanek.

— To będzie krótkie nabożeństwo. Akurat takie dla pana!.. — zachęcał mnie ksiądz kanonik. Nie wiem skąd wynioskował, że nie lubię długich nabożeństw.

Poszedłem więc na »Benedictio«. Kaplica była nieduża, a w kaplicy był lekki półmrok, zapach dymu kadzielnego i kwiatów, świece zapalone na ołtarzu, monstrancja, za oknami popołudniowe słońce i ogromna lipa szumiąca, a w kaplicy cicha muzyka harmonjum, zakonnice, dziwny mistyczny nastrój i chóralny śpiew. Obok mnie klęczała młoda dziewczyna o ciemnych oczach. Śpiewała wraz z zakonnicami. Głos jej był miękki i ciepły. To ta sama dziewczyna, która słuchając czyichś słów, czyniła wrażenie, że słowa te bierze w dłonie i że patrzy w nie w radosnem zdziwieniu. W pewnej chwili zaczęła znowu śpiewać tym swoim miękkim, ciepłym, jasnym głosem: — O salutaris Hostia...

To było najpiękniejsze spotkanie.

Gustaw Morcinek.

Wrażenie ze Spawy



zajęciach rozpoczęła się systematyczna praca obozowa, prowadzona według programu zgóry przewidzianego. Ciągłe musiałyśmy być gotowe pod każdym względem, a ćwiczenie to przypominało nam hasło »Czuwaj«, które specjalnie na obozie wryło się w naszą pamięć. Na zlocie, który był żywym dokumentem 25-letniej pracy harcerskiej, zrozumiłyśmy, że jesteśmy organizacją silną jakościowo, gdyż jest u nas moc energii i zapału młodzieńczego, który odpowiednio skierowany pobudza do czynów szlachetnych, wielkich. Jesteśmy organizacją silną ilościowo; w dumę wbijał nas widok nieprzeliczonych szeregów harcerskich zarówno z granic Polski jak i z zagranicy;

»Do Spawy, na zlot, do Spawy« — brzmiało wokół. Wreszcie nastąpiła chwila wyjazdu na zlot, który był naszym marzeniem już od szeregu miesięcy. Po uciążliwej podróży pociąg »wysypał« nas w Spale, gdzie już panowało harcerskie życie.

Zmąconą została cisza przyrody spalskiej; lasy poszumem swych drzew buntowały się niejako przeciwko tym, którzy śmieli wtargnąć w ich królestwo, podszycie skupiło się, by chronić siebie przed groźną stopą młodocianych przybyszów — lecz nie trwało to długo, gdyż gromady szarych i zielonych mundurów, zamiast zniszczenia przyniosły radość i kulturę, która nie pozwalała niszczyć, lecz ochraniać naturalne piękna przyrody. Na przeznaczonym nam terenie rozbiłyśmy nasz »biały dom«, a następnie sporządziłyśmy wszystkie urządzenia potrzebne do dwutygodniowego obozowania; po tych



uczuliśmy się członkami jednej wielkiej rodziny, związanej węzłem braterskiej, szczerzej miłości i przyjaźni. Poznaliśmy niejednokrotnie jak to praca jednostki, zastępu, drużyny służy dobru ogólnemu i działa wprost cuda. Spawa na dwa tygodnie stała się miastem młodzieży, która obozując, uczyła się samodzielności, odpowiedzialności, odporności, pomysłowości i tych wszystkich cnót, których tak potrzeba dzisiejszemu społeczeństwu.

Minęły te dni — dziś pozostało wspomnienie i jakaś siła w duszy, która każe nam bezustannie realizować ideały.

Teresa Pietnak

VI. kl. gimn. S. S. Ursz. w Kołomyży.



Uśmiechnij się...

*Z uśmiechem idź przez życie,
a w sercu — miej kochanie,
i duszą toń w błękitcie!
z uśmiechem idź przez życie!*

*Choć druh cię zdradzi skrycie,
odtrąci twoje ramię,
z uśmiechem idź przez życie,
a w sercu miej kochanie.*

Janina Unkiewicz.

* * *

Szereg rozmaitych artykułów, uwag i spostrzeżeń o Spale podały dzienniki, czy to w okresie Złotu, czy też po jego ukończeniu.

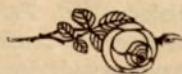
Specjalnie uderzył mnie jako gościa pewien szczegół. Otóż spotkałem się na Złocie z niecodzienną wprost uprzejmością. Wystarczyło mieć minę niezaradną, niepewną, zakłopotaną, a już »ktoś« z harcerskimi »Czuwaj« na ustach zbliża się, by w miarę możliwości poradzić, wskazać drogę, ulżyć w niesieniu walizki itp. Młodzież złotowa, czując się w obozie jak u siebie w domu, wprost na wyścigi starała się o gościnność, wobec przyjezdnych, starała się nadto, by gościom było dobrze i jak najlepiej.

A jeszcze jeden moment. Wiadomo, że dn. 14. lipca rano była zbiórka na boisku spal-skim, przed mającą odbyć się Mszą św. połową i defiladą.

Jestem o 7-mej rano na cichej Mszy św. w kościółku. I oto co widzę: harcerkę, która przy improwizowanym konfesjonale spowiada się następnie komunikuje — sama jedna. Przykład wiele mówiący. Dzień był wtedy naprawdę »gorący«, a jednak owa harcerka umiała tak sobie wszystko ułożyć, by zadość uczynić potrzebom duszy. Przypomniało mi się wtedy francuskie przysłowie — *chcieć to móc. Tak. wola to potęga!* »Gość«

Czeka nas wielki wysiłek, na który my wszyscy, nowoczesne pokolenie, zdobyć się musimy, jeżeli chcemy obrócić tak daleko koło historii, aby Polska była największą potęgą także kulturalną na całym Wschodzie. Wskrzesać Ją musimy i tak postawić w sile i mocy, potędze ducha i wielkiej kultury, aby się mogła ostać w tych wielkich być może przewrotach, które ludzkość czekają. W pracy tej potrzeba umieć być ofiarnym.

Józef Piłsudski.



Natchnione strofy

Leopold Staff.

Ktoś — zdaje mi się Józef Wittlin, nazywał Leopolda Staffa korespondentem świata doczesnego do wieczności.

Żartobliwe to powiedzenie lepiej od długich rozpraw charakteryzuje wielkiego poetę, chwytą istotę jego poezji, na dwóch zasadniczych wygranej tonach. Bo bywają poeci, którzy odkrywszy piękno ziemi sławią je wyłącznie; są inni, którzy nie baczni na nie, marzą o pięknie wyśnionem, widocznem ich własnej duszy. Staff sam powiada:

*Trzymam się lewą ręką ziemi,
Trzymam się prawą nieba.*



Ziemię — w całej jej krasie Staff widzi i docenia. Świat, który przed nami maluje jego bogata, giętka strofa, tak chętnie układająca się w monumentalny kształt sonetu — to świat prosty, ten, na który patrzymy codziennie: las szumiący, staw odbijający w sobie blaski zachodu, kwitnące w sadzie drzewa, — kowal, którego młot słyszymy

codziennie, psy wygrzewające się w słońcu i kogut czerwony, to nawet te łąchmany w polu zapomniane i dymiąca kopa nawozu. Wszystko jest tu takie jak jest: drzewo jest drzewem, słota-słotą, trud-trudem, radość-radością. Staff cały fantastyczny świat maluje z natury i wiernie. On zna najtajniejsze arkany mistrzyni przyrody. Tylko na te przedmioty, które znamy tak dobrze, pada jakieś dziwnie nowe światło i blask, którego nie miały przedtem. W tem oświetleniu ukazują się jakby nowe, a jednak tak proste i zdumieni jesteśmy, że dotąd sami nie widzieliśmy tego wszystkiego:

*Zegar wsi zwiastun trudu i prorok niepogód
Hasłem nadziei wita ranek pracy kogut,
Gdy z blednącym pomrokiem wczas ma się
do końca.*

*Stojąc na złotym gnoju blaskami połyska,
Jakby czerwony płomień złotego ogniska,
Co przygasa w obliczu wschodzącego słońca.*

*Płótna bielące się w dali na trawie
Pasą się niby owce na murawie,
A na nich wiejskie gospodarskie słońce,
Pasie się cicho, jak na białej łące.*

To wszystko przecież widzieliśmy dawno, choć niewidzącym naszym oczom odkrył to dopiero Leopold Staff.

I ten świat najprostszy i najpiękniejszy jest już dla nas nietylko sobą, ale staje się dla nas także, jak dla poety, drogą wiodącą w nieskończoność. Bo Staff, wodząc po świecie zachwyconemi oczyma, odczytuje jego wieczną tajemnicę.

Sam wyznaje, że Bóg jest światłem jego pomroczy i śpiewem jego duszy. Cały blask świata, który widzi i podziwia w jego słonecznej chwale, i śpiew jego, który chłonie z rozkoszą nie są w stanie nasycić jego tęsknot:

*Kocham myśl, pieśni, ludzi i zwierzęta,
Gwiazdy i kwiaty, ciszę pól i lasu,
Lecz czar prawdziwy życia jest ukryty
Po tamtej stronie gór czasu.*

Za te więc »góry czasu« kieruje swój przenikliwy wzrok, tam szuka zagadki świata i człowieka. Ku tej krainie pielgrzymuje wę-

poetów młodych i najmłodszych nie jest »poetą przebrzmiałym«, przeciwnie, jest dla nich wzorem, mistrzem, niedościgłym ideałem. Chyba mało jest tomików poezji, którychby w manuskrypcie nie był czytał Staff. Nad setkami bruljonów schylają się mądre, dobre oczy Jego, a zawsze radośnie i ufnie, spodziewając się, że może właśnie z tego zeszty rozdzwoni przedziwnie piękna poetycka melodja.

Kiedyś z bruljonów studenta z Łodzi wyczytał Staff wielkość Juljana Tuwima. Gdyby nie zachęta Staffa, nie byłby się ośmielił drukować swych wierszy, tak sam się do tego przyznaje. Odkrył i zachęcił tylu, dziś już w sławie ugruntowanych poetów. Coś wzruszającego jest w tym stosunku wielkiego poety do młodszych braci. Zawsze cichy, jakby swą wielkością zażenowany, zdumiony odbieranymi hołdami, rozpromienia się najpiękniejszym uśmiechem, gdy wyczyta znamie prawdziwej poezji w utworze któregoś z młodych...

To też wpływ Jego trwa mimo zmienności poetyckich mód, szkół i prądów, bo Leo-

pold Staff zna tylko jedną szkołę: szkołę rzetelnej pracy i głębokiej kultury; i jeden prąd: prąd wielkiej czystej poezji.

Dziś Staff, wiceprezes naszej akademii literatury, stoi u szczytu swej sławy, jest w pełni swego talentu i twórczości. Dzieła jego nie można »brać«, trzeba je poprostu czytać. Tłumaczenia, wywody, nie potrafią wyjaśnić czaru, zamkniętego w jego strofach, tak doskonałych w swej poetyckiej formie, i tak bogatych w mądrość. Ale kto weźmie do ręki jeden z tych białych tomików, i potrafi na chwilę zamknąć uszy na wrzawę świata, ten od razu usłyszy tę wielką melodję, grającą jak prosty ton fletu i potężną jak rozmodlone organy. A kto potrafi się wsłuchać w tę ciszę wielkiej sztuki, ten zrozumie Jej rozkaz, który: *W gwiazdy wskazuje jako rozkaz mieczem,* — i ten potrafi razem z poetą powiedzieć z głębi duszy: —

*I wznosząc w dłoniach nasze serca młode
Do gwiazd, co płoną jak nasze tęsknoty, —
Módlmy się cicho na klęczkach — o skrzydła...*

Zofja Starowiejska-Morstinowa.

Noc pod lipą Wieszcza

Pociąg zbliża się do Nowojelni. Dokoła, jak okiem zasięgnąć, zielona falistość drobnych pagórków, pokrytych łąkami i zbożem, spienionych gdzie niegdzie czubami krzewów i zagajników. Stoję w oknie wagonu i patrzę na ten jedyny w swoim rodzaju — rozpląsany radośnie, a napełniony odwieczną jakąś zadumą — pejzaż nowogródzki. I nie wiem dlaczego zaczyna mi się marzyć bajka — że przed wiekami było tu morze — żywiol ruchomy, rozkołysany milionem fal, które nagle zastygły w swym sugestywnym, powtarzającym się rytmie, trysnęły wybujałą zielenią z gleby rodzajnej, zaszumiły na jasnych wzgórzach trawą i zbożem. Lecz pod powierzchnią wzgórz wciąż jeszcze zdaje się tętnić odwieczne serce głębi i żyje w tej ziemi i tai się w powietrzu nieustanny ruch fal.

Coś płące się po myśli, coś przypomina...

»Ja rymów nie dobieram, ja wierszy nie składam«...

Przyszły nagle te słowa i taką siłą zaga- dały w sercu.

Wcale o Nim nie myślałam. Dzieliła mnie od niego cała zgiełkliwa dzisiejszość. Lecz nagle wszedł we mnie czarodziejski, niepokojący rytm tej ziemi — i żywa przeszłość wtargnęła.

Głos ziemi tej mocniał, rósł — i kiedy, wkrótce, wiozące mnie z Nowojelni do Nowogródka auto wlatywało po białej szosie ze wzgórza na wzgórze — świadomość moją ogarnęło nagle nieodparte poczucie, że tylko tu, tu właśnie mógł i musiał powstać duch wielkiego rytmu — Mickiewicz.

Wyrósł z tej ziemi, jak z ziemi wyrasta kłos wybujały — chociaż siły, któremi rósł, nie były tylko siłami ziemi.

* * *

Duży, pusty ogród otacza ściany starego dworku. Nowogródek już śpi, lecz tu i we

dnie zapewne małomiasteczkowy gwar nie dochodzi. Długie przejście między drewnianymi płotami z zamykaną na noc bramą dzieli ten ogród od miasta. Mroczno tu i cicho, jak w lesie. Jakiś zamiar kryje się w milczeniu wychylonych ku dróżce drzew... jakby zbyt chciały korzeni i dokąś wędrować. Za ogrodem, w ciemnej dolinie świeci zdala oknami i dyszy elektrownia nowogródzka. Za nią szarzeje dalekie wzgórze. Wysokie, bujne trawy ogrodu pachną świeżością, deszczem. Po niebie pędzą strzepy białych chmur i czasem tylko księżyc rzuci na chwilę jaskrawe nocne spojrzenie na smętek strzelistych topoli.

Jakiś mur niewidzialny dzieli zakątek od miasta, od świata.

Idąc jedną z dróżek, natknęłam się na starą altanę. Potłuczone szybki, wewnątrz pajęczyna i szczątki jakichś mebli. Przeszłość umarła... A z za drzew świecą białe ściany dworku — rodzinny jego dom. Obcy ludzie w nim teraz śpią.

Jaka cisza! Taka cierpliwa, wieczna, czekająca cisza...

Lecz to nie w ciszy tej, to w mojem sercu rozległy się nagle kroki. I nie wiem, czy to biegnie cichutko między szpalerem wilgotnych nocnych drzew biały chłopak z ciemną czupryną, czy tam, po dróżce chodzi dorosły człowiek? Chodzi, i bezwiednym sennym ruchem odgarnia wciąż włosy z czoła, odgarnia...

Czemże jest przeszłość i czas w najgłębszej ciszy tej nocy i w ciszy serca, zatopionego w milczeniu ziemi?

Wyjrzał znów księżyc i srebro miota na czuby rozkołysanych topoli. Uciły kroki — z przeszłości. Tam — wiem — pod lipą na ławce ciemna sylwetka, skulona trochę od wieczornego chłodu. Na wyrazistych nerwowych dłoniach wsparta posępna twarz, taka różna od tej znajomej z portretów. Tuła się po niej kilka łez zapomnianych. Łzy pierwsze — czy ostatnie? Słodka gorycz urodzajnych dziecinnych ros, czy zimny pot męczarni, kiedy dusza, smagana rozpalona żelazem bólu, leży krzyżem przed Bogiem i — losowi nie bluźni?

„... pamiętam dziś jeszcze, na kilka godzin przedtem wylały się deszcze“...

Jak mocno pachną mokre trawy ogrodu...

Cichutka, chłodna, srebrna melancholja kresowej nocy. W tej ciszy — uderzenia serca jak huk podziemny, jak groźba kataklizmu. Gdzie ono tak huczy? Mija już lat osiemdziesiąt od czasu, kiedy się ono szamotoła, walczyło, takie olbrzymie, a tak czasem biednie człowiecze, takie potężne — i takie bezbronne przed własną wizją kochania.

To było wczoraj...

Więc to pewnie przez moje serce dziś przechodzi tylko wielkie echo?

Jest może taka kraina, gdzie „wczoraj“ wiecznie trwa, gdzie żyje jak światło gwiazdy, co lat miliony w nieskończoność płynie?

Patrzę w ciemność. Dobra, cicha lipa wyrasta z mroku, pochylona sekretnie nad ławką, zwarta gęstwiną milczących gałęzi. Dobra matka, schylona nad głową zapamiętałego pielgrzyma.

Pielgrzym szedł w świat — między nowych ludzi, w nowe kraje. Przełamało się potem w duszy pielgrzyma, ustała śmiertelna walka egoizmu ludzkiego o szczęście. W sercu przeistoczonym inna pełnia, inna moc, jak słońce oślepiające wschodzi. Gdzieś w głębiach duszy kiełkować poczyna nowa kraina wielkiej pogody. Lecz wówczas — inna uderza fala z oceanu klęsk i cierpienia, czarną grozą zatapia w duszy świat cały, burzy wszystko — wiarę w człowieka i Boga.

„I byłam taka otchłani bez dna i bez granic? Nie wiedziałem — a była!“

Pod strasliwym ciśnieniem otchłani przeobraża się wola, niezniszczalna się tworzy opoka. I czeka ta wola jednego prawdziwego promienia słońca, żeby nieznaną nam skalą szczęścia rozgorzeć, żeby zawibrować potężnym życiem światła, rozdzwonić się wielkim rytmem dzwonów bożych.

Płomienna ręka losu sięgnęła do głębi, wyszarpnęła rdzeń duszy, nad piekła czarne uniosła, a żeby dusza żelazna wytrwała, żeby się w niej rozpałiło na wieczność zarzewie Wiecznego Człowieka.

W wilgotnym mroku szemrzą drzewa starego dworku. Dokoła Nowogródka, na ciemnych wzgórzystych polach — sen — głęboki, pachnący sen ziemi.

A. Gronostajska.

ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO

WIOSNA I ARTYSTA.

*Wiosna... Ileż szeptów budzi się w przy-
rodzie...*

Do grusz tułą usta różowe jabłonie...

Urwał skrzypek, na piersiach

Skrzyżowawszy dłonie,

Czekał, aż mu wiosna,

Nowy motyw rzuci...

Cicho, promiennie, jasno jest w ogrodzie...

Słońce ze szmerem na trawniku pada...

Ciszę wiosenną czasem brzęk zakłóci;

To drzewo westchnie, to znów coś zagada.

Z pomponów kwiatów, z ciężkich ich okiści

*Wiatr strąca puchy, kwieciami w oczy dmu-
cha,*

Zagłębia palce w pęki młodych liści,

I pierzcha nagle...

Skrzypek stoi... słucha...

Już dotknął skrzypiec...

Smyczek mu pomyka

Po cienkich strunach,

Które szarpie palcem;

Pierwszy dźwięk pada...

Goni go muzyka,

Bijąca w niebo, niby cichy dzwonek...

Serce artysty bije w takt tej pieśni,

A on sam cichy, senny, jak w zadumie...

Na skrzypce pada biały kwiat czereśni

I śpiewa cicho...

Skrzypek go rozumie,

Powieki przymknął

Tak, jakgdyby usnął...

Nagle na skrzypcach

Rękę smukłą słoży...

Już drżą mu palce długie i nerwowe,

Naciśka smyczek i już struny musnął,

Zwyczęskim ruchem odrzucił wtył głowę

I zagrzmiał pieśnią...

Hymn wiosenny tworzy.

K. Szczepkowska, VIII kl. gim. 523.

Echa audycji

ku uczczeniu Henryka Wieniawskiego.

W związku z przypadającą w tym roku setną rocznicą urodzin znakomitego wirtuoza — kompozytora Henryka Wieniawskiego, na terenie całej Polski odbyło się wiele uroczystości i obchodów.



I nasze gimnazjum poczuło się w obowiązku uczcić pamięć wielkiego artysty tembardziej, że jak wiadomo, urodził się on w Lublinie.

W tym celu, dzięki staraniom pani prof. Łosakiewiczowej, została zorganizowana audycja z udziałem doskonałego skrzypka prof. Władysława Zawadzkiego. W dzień ów po pięciu lekcjach zebrałyśmy się, trochę podniecone zapowiedzianym koncertem, na auli naszego gimnazjum.

Różne wykrzykniki i uwagi na temat widzianego już na korytarzu prof. Zawadzkiego krzyżowały się nad moją głową. W sali, w miarę napływania dziewczynek, robiło się

coraz głośniej. My, starsze, burzyliśmy się trochę z powodu obecności małych, bojąc się o zakłócenie ciszy podczas koncertu. Ostrzegawczy głos dzwonka dał nam znać, że nadechodzi czcigodne grono profesorskie. Wstaliśmy z miejsc, aby powitać wchodzących. Zrobiło się znowu trochę za głośno, lecz powoli głosy milkły i gdy weszła p. Łosakiewiczowa, nastąpiła zupełna cisza.

Słuchałyśmy z zaciekawieniem interesującego referatu o Henryku Wieniawskim. P. prof. Łosakiewiczowa umiejętnie podkreśliła zasługi położone przez genialnego kompozytora dla muzyki. Z przykrością dowiedziałyśmy się, że do niedawna Wieniawski był całkiem zapomniany przez swoje rodzinne miasto t. j. Lublin. Lecz miejmy nadzieję, że to już się nie powtórzy.

Po skończeniu referatu p. Łosakiewiczowa usiadła do fortepianu, a my z oczyma utkwionemi w drzwi czekałyśmy na wejście Skrzypka.

Nareszcie! Smukła, niemal chłopięca postać, ze skrzypcami w ręku, zgięła się w ukłonie przed audytorjum.

Zaczęli grać...

Popłynęły ciche, melodyjne tony legendy Wieniawskiego, trafiające wprost do serc zasłuchanych dziewczynek. Żaden szmer, żaden najłżejszy szepc nie zmącił czarodziejskich dźwięków, wychodzących z pod smyczka Skrzypka.

Zawadzki grał...

Nie było w nim ani śladu tak zwanej blagi koncertowej, polegającej przeważnie na efekcie zewnętrznym, lecz grał całą duszą, z serca swego do serc słuchaczy. — Skończył! — na sali jednak było wciąż cicho. Siedziałyśmy zasłuchane, łowiąc uchem ostatnie tony rozplywające się w powietrzu.

Potem oklaski bez końca. Huragan oklasków jak lawina spadał na pochyloną głowę prof. Zawadzkiego. Grali dalej... Popłynęły oberki, skoczne mazurki i smętne kujawiaki jeden za drugim, jak przecudowny łańcuch harmonijnych tonów, oplatający nasze serca i umysły. Wszystko to grał z takim uczuciem, że przy jednym bardzo żywym utworze omal nie poszarpał smyczka na strzępy. W owej chwili chciało się wykrzyknąć jak Sikorski po koncercie Wieniawskiego 1860

roku w Warszawie: »Żar i płomień! Gdyby takich Wieniawskich było wielu, toby trzeba na nich zawołać: Ostrożnie szaleńcy! ziemia zgorzeje!«* Byłyśmy oczarowane grą prof. Zawadzkiego. Nawet te małe z niższych klas, podczas gdy on grał, traciły ochotę do rozmów. Program audycji wyczerpał się, lecz my rozentuzjasmowane nie dałyśmy wyjść Skrzypkowi. Chcąc nie chcąc, musiał bisować raz, potem drugi i trzeci.

Śmiało mogę powiedzieć, że uważam prof. Zawadzkiego za skończonego artystę-wirtuoza. Talent, jaki w sobie wyrobił w tak młodym wieku, jest rzeczą rzadko spotykaną. Miejmy nadzieję, że w krótkim czasie prof. Zawadzki zabłyśnie jako nowa gwiazda na firmamencie muzyki i swoją szlachetną grą będzie porywał publiczność w stolicach Europy, jak porwał nas w owym pamiętnym dniu.

Beata Kelles-Krauze

Kl. VII. gimn. 523. Lublin.

Henryk Wieniawski

(Z okazji 100-letniej rocznicy urodzin skrzypka).

Henryk Wieniawski urodził się w Lublinie 10 lipca 1835 r., a więc 100 lat temu. Atmosfera rodzinna nawskroś artystyczna i kulturalna wybitnie sprzyjała rozwojowi talentu młodego chłopca. Mając lat 9 zdobywa sobie powszechne uznanie, będąc przyjętym do mistrzowskiej klasy słynnego profesora Massart'a w Paryskim Konserwatorjum; zaś w dwa lata później, mając 11 lat, kończy je z najwyższym odznaczeniem. Fakt zdobycia przez 11-letniego chłopca pierwszej nagrody, pobicie wielu groźnych, starszych od siebie rywali, fakt ten był rzeczą zupełnie wyjątkową nie tylko w historii Paryskiego Konserwatorjum, lecz i wszystkich innych najpoważniejszych uczelni muzycznych. Od tego czasu datuje się świetny triumfalny pochód po wszystkich stolicach świata. Wieniawski wespół z bratem swym Józefem, lub też ze słynnym pianistą Antonim Rubinsteinem koncertował we wszystkich większych salach Europy i Ameryki,

* Dr. Józef Reiss: „Czy to nie wstyd?“ — Muzyka i śpiew, Kraków wrzesień 1930 r.

zbierając laury, zaszczyty i wysokie odznaczenia. — W roku 1860 został mianowany skrzypkiem nadwornym w Petersburgu, co mu bynajmniej nie przeszkadzało koncertować.

W ostatnich latach swego życia był profesorem konserwatorium w Brukselli. Umarł w roku 1880 mając zaledwie 45 lat.

Charakterystyczną cechą Wieniawskiego był nieokiełzany wprost temperament oraz niespotykana brawura przy pokonywaniu trudności technicznych — palcowych. Krytyka współczesna w osobach takich autorytetów, jak Joachim czy Hubay bezwzględnie stawia go jako wirtuoza na zaszczytnym miejscu, przyznając otwarcie, iż jest on skrzypkiem epokowym, którego z nikim porównać nie można.

Poza działalnością wirtuozowską, Wieniawski odznaczył się również jako kompozytor doskonały, którego dzieła przedstawiają całość nieprzemijającą. A więc należy wymienić w pierwszym rzędzie dwa koncerty z akompanjamentem orkiestry: »Fis-mol« i »D-mol«. Koncert »Fis-mol« dzieło młodzieńcze nie wyrobionego jeszcze kompozytora nie przedstawia większej wartości artystycznej. Koncert »D-mol« — natomiast, pisany przez Wieniawskiego w wieku dojrzałym jest jednym z arcydzieł polskiej literatury muzycznej. Romans, stanowiący II część koncertu, szlachetną swą liryką przypomina nocturny Chopin'a. — Część III-ia »à la Zingara« pełna jest werwy i błyskotliwości. Również jak Chopin, napisał Wieniawski szereg polonezów i mazurków,

w których przebijają zarówno sarmacki duch dawnej szlachty, jak i smętek i zaduma polskiej pieśni ludowej. Niektóre z nich, jak »Polonez A-dur«, »Obertus«, »Dudziarz«, »Kujawiak« — są utworami o pięknie nieprzemijającym i zajęły już swoje miejsce w literaturze muzycznej.

Zupełnie odrębne znaczenie posiada »Legenda«. Jest to niewątpliwie najdoskonalszy wyraz inwencji lirycznej Wieniawskiego. Napisana została pod wpływem bólu i upokorzenia, jakiego musiał doznać Wieniawski, gdy arystokrata angielski Sir Hampton nie chciał udzielić swej zgody na ślub młodziej swej córki, Izabelli z artystą bez żadnego rodzowego nazwiska. »Legenda«, stworzona w chwili ekstazy twórczej, zwyciężyła dumnego arystokratę. Usłyszawszy utwór ten, w parę dni po odmowie danej Wieniawskiemu, Sir Hampton nie mógł oprzeć się żywiołowemu wprost wybuchowi bólu. Ślub znakomitego artysty z młodzieńką, piękną Angielką odbył się niebawem.

Z innych utworów Wieniawskiego należy wymienić efektowną, pełną brawury wirtuozowskiej »Tarantellę«, błyskotliwie opracowaną fantazję na tematy, z opery »Faust« Gounoda, nadzwyczaj ciekawe etjudy skrzypcowe, »Souvenir de Moscou« »Le carnaval Russe« etc. — etc. Utwory te jednak w twórczości Wieniawskiego zajmują miejsce drugorzędne, i nie mogą być porównywane z poprzednio omówionymi arcydziełami naszego słynnego Lublinianina.

Janina Łosakiewicz
prof. Szkoły Muzycznej im. Moniuszki w Lublinie.

Łacina jako język międzynarodowy

Dokończenie.

Ponieważ zatem ustaliło się przeświadczenie, że żaden żywy język współczesny nie może stać się międzynarodowym, zaczęto tworzyć w tym celu *języki sztuczne* w rodzaju esperanta. Tutaj jednak nasuwają się nowe wątpliwości. Przedewszystkiem języków sztucznych jest już dzisiaj spora garść (esperanto, ido, interlingua, by wymienić tylko najważniejsze) — tak, że sami ich zwolennicy nie są między sobą zgodni, który

język sztuczny wybrać jako uniwersalny. Powtóre, nauka ustaliła już dawno, że mowa ludzka jest wytworem naturalnym i organicznym, że zatem żaden twór sztuczny nie może jej zastąpić, nie zasługując wogóle na miano języka. Wreszcie, co najważniejsza, każdy język jest zjawiskiem kulturalnym i wykwittem jakiejś określonej kultury narodowej. Tego warunku żaden język sztuczny również nie spełnia.

Otóż istnieje język organiczny, który wyrosł z podłoża wielkiej kultury, a nie jest językiem współczesnym. Mam na myśli łacinę. Już z tych względów stanowi ona wymarzony język międzynarodowy. Była nim zresztą przez długie wieki, nietylko w starożytności, ale przez całe średniowiecze i później aż do XVIII-go stulecia, jako uniwersalny język świata politycznego, naukowego, literackiego, a nawet towarzyskiego, nie mówiąc już o Kościele rzymsko-katolickim. Umiedzynarodowienie łaciny nie byłoby więc właściwie niczem nowem, tylko nawiązaniem do dawnej tradycji, która przerwała się zaledwie jakieś 150 lat temu. Tradycja ta była szczególnie ugruntowana w Polsce, uważanej zawsze za jeden z najważniejszych filarów cywilizacji łacińskiej w Europie. Bo też znajomość łaciny była w społeczeństwie staropolskiem powszechna i wysokim swym poziomem wprawiała w podziw cudzoziemców. Jakżeż zawstydził się król Kazimierz Jagiellończyk, gdy przy spotkaniu z królem szwedzkim wyszła na jaw jego niezajomość łaciny! Tem więcej dołożył starań, by jego

synowie wykształcili się na dobrych łacynistów, i postarał się dla nich o znakomitego mistrza, Filipa Kallimacha-Buonacorsi, słynnego humanistę.

Dzisiaj idea przywrócenia łacinie godności języka międzynarodowego rozszerza się coraz bardziej. Organizacje, poświęcone tej idei istnieją w wielu krajach, jak we Włoszech, Niemczech, Francji, przedewszystkiem zaś w Polsce. W r. 1933 powstało w Warszawie *Towarzystwo Umiedzynarodowienia łaciny* pod przewodnictwem humanisty światowej sławy, prof. Tadeusza Zielińskiego. Mnożą się również czasopisma w języku łacińskim oraz szerzy się piękny zwyczaj wymiany listów łacińskich między uczniami gimnazjalnymi rozmaitych krajów; młodzież polska wystąpiła w szeregu wypadków z tego rodzaju inicjatywą wobec swych kolegów zagranicznych (Francuzów, Włochów), podkreślając wobec Europy łaciński charakter kultury polskiej i spotykając się z gorącym aplauzem.

Obawiano się początkowo, że łacina, jako język starożytny, nie potrafi wyrażać wielu

M A R Y S I A

Dokończenie.

Żałosny płacz Zygmunta obudził Marysię z rozmyślań. Dzieciak leżał na ziemi. Nie spostrzegła nawet, jak jej się wysunął z rąk. Zaczęła go uspokajać, otrzepała z kurzu, oglądając się niespokojnie na drzwi domu. Dziecko widocznie musiało się silnie uderzyć, bo płacz nie ustawał. Zaczęła więc go podrzucać i biegnąc, oddalać się od domu. Dzieciak rozkrzyczał się na dobre. Sił już nie miała biec dłużej, oparła się ciężko o drzewo, ustami łapała powietrze, drobne kropelki potu pokryły jej twarz. Nagle porwała ją złość na dziecko. Gwałtownie posadziła je na ziemi, krzycząc, żeby było cicho. Za chwilę były jej dzieciak i tak z rąk wypadł, miała uczucie, jakby jej się ręce od ramion odrywały.

Żeby ten Zygmunt prędzej urósł, albo żeby jej już nie kazali go nosić! A Zygmunt tymczasem zanosił się od płaczu. Marysi było już wszystko jedno. Niech mama przyjdzie niech ją zwymyśla, tylko niech weźmie dziecko, bo tego krzyku już znieść nie może. Przycisnęła uszy mocno rękami i zaczęła lkać do wótru malcowi, czując swoją bezsilność i bezradność.

— Marysiu, a tobie co? — zapytała ją szewcowa wracająca ze sklepu.

— A bo go nie mogę uspokoić. Rozwrzeszczał się jak... jak... ten raróg. — Właściwie nie wiedziała, co znaczy to słowo.

— Biedaczka, — ulitowała się szewcowa. — Weź mój koszyk, to ci Zygmunta uspokoię. Koszyk był także ciężki, ale jednak sporzej go było nieść niż dziecko. Ledwo się rozgadała w mieszkaniu szewcowej, wpadł Antek.

— Maryśka, pani Kwiatkowska cię woła. Przyszła jakaś pani i chce cię widzieć.

Porwała się biec, ale jej się przypomniał Zygmunt. Niechętnie zbliżyła się do dziecka.

pojęć nowoczesnych. Praktyka wykazała płonność tych obaw. Aktualna treść czasopism łacińskich, korespondencja, prowadzona przez propagatorów umiędzynarodowienia łaciny w tym języku, przedewszystkiem zaś łacińskie encykliki papieskie, które poruszają często zagadnienia nawskróś nowoczesne, jak kwestje społeczne (np. sprawę robotniczą), — wszystko to przemawia za tem, że wspaniała mowa starożytnych Rzymian może być doskonale przystosowana do potrzeb dzisiejszych, nie zatracając zresztą swego charakteru klasycznego.

Ważnym warunkiem umiędzynarodowienia łaciny nietylko w piśmie, ale i w słowie, będzie ujednostajnienie jej wymowy, która nie jest u wszystkich narodów jednakowa. Że jest to rzeczą zupełnie możliwą, dowiódł Kościół katolicki, który wspomniane różnice usunął. Zrezygnowała praktyka i tu roz-

proszyła wątpliwości. Kiedy z wiosną 1934 r. odbywał się w Warszawie międzynarodowy kongres autorów i kompozytorów scenicznych, doniosły dzienniki, że pewien cudzoziemiec (Holender, jeżeli się nie mylę), nie mogąc się porozumieć w czasie zwiedzania miasta żadnym znanym mu językiem nowoczesnym, porozumiał się wreszcie po łacinie, którą znali i jego przewodnicy.

Zapewne, dużo jeszcze czasu upłynie, zanim łacina stanie się znowu w całej pełni językiem międzynarodowym kulturalnego świata. Ale sam fakt istnienia poważnych i owocnych dążeń w tym kierunku świadczy, że łacina nie jest mową martwą i że nauka jej może przynieść — obok innych korzyści — jeszcze i ten pożytek czysto praktyczny.

Dr. Ignacy Wieniewski.

Roczniki »Dziś i Jutro« z dawnych lat są do nabycia w Redakcji:

— — Kraków, Starowiślna 11. — —

— Antek weźże jej dziecko i zanieś do domu. A to biedna chudzina ledwo już dycha. Chłopak porwał dziecko jak piórko.

W domu zastała Marysia jakąś obcą panią. Matka opowiadała o swoich biedach i kłopotach.

— Oo, jest Marysia.

Pani oglądnęła jej drobną postać i zapytała, czy chodzi z nią do ubezpieczalni.

— Chodzić, chodzę, ale co tam z tego. Dochwór powiedział, że Maryśce zdałby się wyjazd na wieś, tak jakby tu nie było tak samo jak na wsi.

— Mała ma słabe płuca, jej potrzebne jest czyste powietrze.

Pewnie, u nas powietrze nie jest dobre. Ja ciągiem piorę, pary w izbie pełno. Gdybym sama nie zarabiała, nie wyżylibyśmy za mężowy zarobek.

— Pojechałabyś, Marysiu, na wieś? — zapytała pani.

Dziewczynce zaśmiały się oczy.

— Patrzenie-no na nią — obruszyła się matka. — Nie żalby ci było nas i Zygmunta?

— Na wieczność przecieźby nie pojechała — łagodziała pani, widząc przygasałą twarzyczkę małej. — Jeżeli pojedzie na wieś, wróci silniejsza i zdrowsza. Lepiej się wtedy zacznie uczyć, prędzej coś pani pomoże w gospodarstwie i łatwiej jej będzie ponosić czasem tego kloca.

Nagle sobie coś przypomniała, uważnie przyjrzała się plecóm dziewczynki, dotknęła ręką.

— Pewnie chce wiedzieć, czym bardzo chuda. — pomyślała Marysia.

Tymczasem pani podprowadziła matkę w kąt izby i zaczęła coś z gniewem mówić. Do Marysi doleciały niektóre słowa: skrzywienie kręgosłupa, brak zastanowienia, okrucieństwo.

Po odejściu obcej pani matka dość długo gniewnie mruzczała do siebie. Gdy jednak Marysia chciała wzięść rozkrzyczanego Zygmunta na ręce, nie pozwoliła.

Ci, którzy się żywią własną krwią

W dzień i w nocy terkoce telefon w »Akademickim Ośrodku Krwiodawców«. Dyżurujący student przyjmuje zamówienia od doktorów, albo wprost od pacjentów.

Rozmowy są stereotypowe:

Czy to numer 9-22-78? Brzmi zapytanie.

Tak jest. Tu Akademicki Ośrodek...

— Potrzebny natychmiast krwiodawca grupy »A«, uodporniony na tyfus...

Następuje jeszcze nazwisko i adres pacjenta. Dyżurujący student wybiera z kartoteki odpowiedniego krwiodawcę i telefonuje do niego. Chodzi oczywiście o nagłą transfuzję krwi, o uratowanie czyjegoś życia...

Czy dzień, czy noc, czy pogoda, czy deszcz — jeśli zamówienie jest miejscowe — wydelegowany krwiodawca natychmiast musi jechać, w dwadzieścia minut najpóźniej musi być na miejscu. Koszty lokomocji nie odgrywają w tym wypadku żadnej roli.

Gdy przetoczenia krwi wymaga pacjent chory zakaźnie, krwiodawca spełnia podwójną

rolę, po pierwsze własną krwią wspomaga wyczerpanego pacjenta, po drugie mając krew uodpornioną zastrzykiem odpowiedniej surowicy przez transfuzję uodparnia także chorego, dając mu często gwarancję wyzdrowienia.

Transfuzja odbywa się oczywiście zapomocą odpowiedniego przyrządu, skonstruowanego w ten sposób, że wykluczone jest zarażenie dającego krew, chorą krwią pacjenta. Zabieg można robić nawet małym dzieciom, a zamówienia na ilość krwi wahają się od kilkudziesięciu do kilkuset cm. sześciennych.

Wszyscy zawodowi krwiodawcy są badani co miesiąc i rejestrowani przez Państwowy Zakład Higieny, mieszczący się w ogromnym gmachu przy ul. Chocimskiej i każdy z nich posiada wydaną przez P. Z. H. odpowiednią książeczkę stwierdzającą, jak dowód osobisty, tożsamość właściciela, grupę jego krwi i posiadającą rubryki do wpisy-

-- Zostaw go, niech se pokrzyczy. Nanosiłaś się go dzisiaj dosyć. Już się tak chłopak rozpaskudził, że tylkoby na rękach siedział.

Minęło parę dni. Marysia zapomniała o niezwykłych odwiedzinach. Nagle w domu dowiedziała się, że pojedzie na wieś. Z radości aż jej dech zaparło. Nie rozumiała właściwie, dlaczego ona jedzie na wieś. Wiedziała tylko, że miało to związek z odwiedzinami tej obcej pani. Zresztą było jej wszystko jedno, kto ją na wieś wysłał.

Wieś, wieś! Nie będzie trzeba nosić Zygmunta i nie będzie szkoły. Nie, szkoły trochę szkoda, zwłaszcza pani, ale szkoła tak samo męczy jak noszenie Zygmunta, tylko że przy tem ręce nie bolą. Jak wróci ze wsi, to już będzie zdrowa i może przestanie być gapą. Strasznieby chciała nie być gapą.

Podróż dla niej była nowością. Jechało z nią kilka dziewczynek, niektóre znajome. Odwoziła je wszystkie pani, którą czasem widywała w szkole. Po długiej jeździe koleją jechały jeszcze kołami. Tego jednak dokładnie nie pamięta, bo napół spała. Nie pamięta także, jak się dostała do łóżka.

Rano obudziło ją słońce, świecące mocno przez duże okno. W pokoju stało kilka łóżek. Ona sama spała w takim dużym łóżku. Żeby to mama mogła zobaczyć! Na oknie doniczki z kwiatami, śliczne, czerwone pelargonje, a jak ich wiele! Podeszła na palcach do okna. Jaki ogród!

Promienie słońca padły na jej bladą twarz. Ich ciepło poczuła na policzkach jak pocałunek. Była tak szczęśliwa w tej chwili.

— Dobrze, kochane słońce!

Nagle wydarł jej się z piersi okrzyk, który zbudził inne dziewczynki. — Bocięk, bocięk! Na wysokim, ściętym wierzchołku drzewa, na gnieździe stał bocian wyciągając ku słońcu długi czerwony dziób.

J. Bilwin.

wania wyników comiesięcznej kontroli lekarskiej.

— A czy nie można brać krwi od zwierząt — stawiam przeraźliwie laickie pytanie.

— Wszystko pani zaraz opowiem mówi cierpliwy doktor. Przy pierwszych próbach stosowania transfuzji próbowano brać krew zwierząt, ale ta metoda dała bardzo ujemne rezultaty, rozpoczęto więc badania, stosując krew ludzką. Wyniki były nieco lepsze, ale transfuzja nabrała dopiero znaczenia po odkryciu prof. Landsteinerja, który wykazał, że krew ludzka nie posiada jednakowych właściwości, lecz dzieli się na grupy. Przyczem np. u Aryjczyków przeważają grupy oznaczone literami »A« i »O«, podczas gdy semici mają najczęściej grupę »B«. Jest także grupa mieszana np. »AB«.

Teraz doktor, pragnąc rzecz dokładniej wyjaśnić, wziął w palce dwie próbówki. W jednej zawarta surowica pomieszała się z krwinkami, w drugiej zaś ciemnoczerwony skrzep zlepionych krwinek pływał osobno. Były to krwinki umieszczone w nieodpowiedniej surowicy. Skoro choremu zrobią transfuzję krwi zwierzęcej albo krwi nieodpowiedniej grupy ludzkiej, wtedy właśnie może nastąpić w jego żyłach skrzep krwinek, zatykający naczynia krwionośne i powodujący najczęściej śmierć.

Krew zwierząt dzieli się też na grupy i zwierzętom, tak jak ludziom, można krew przelaczać. Pozatem, jeśli chodzi o ludzi, to badania wykazały, że krwiodawca posiadający grupę »O«, może zastąpić krwiodawcę innych grup. To też zawodowemu krwiodawcy, posiadaczowi tej właśnie grupy, zazdroszczą koledzy lepszych zarobków.

Zarobek — to ważna rzecz. Do związku

krwiodawców należą wyłącznie studenci i bardzo często się zdarza, że za pieniądze pochodzące ze sprzedaży własnej krwi, trzeba opłacić chesne i mieszkanie, ubrać się i wyżywić. Przeciętnie na transfuzji zarabia dający krew sto kilkadziesiąt złotych, płatnych od razu przez pacjenta, lub z »Funduszu na transfuzje dla niezamożnych chorych«.

Skąd powstaje ten fundusz?

Przy każdej transfuzji nasz Ośrodek Krwiodawców potrąca 25% od zarobku krwiodawcy. To znaczy, jeśli pacjent wziął 200 cm. sześć. krwi i zapłacił według taksy po złotówce za centymetr, czyli 200 zł., wtedy 50 zł. strąca się na »Fundusz«. Nie można przecież wprost skazywać jakiegoś chorego na śmierć tylko dlatego, że jest biedny — wyłuszcza mi rzecz kierownik ośrodka krwiodawców w powrotnej drodze.

— A także nie można żądać od krwiodawcy zawodowego, aby dawał krew darmo — ciągnie dalej mój uprzejmy rozmówca — i przecież za swoje pewne skrepowanie życiowe, jakim jest choćby miesięczna kontrola, za stawienie się na każde żądanie i poddawanie się transfuzji krwiodawca musi mieć jakąś rekompensatę.

— Sprawa jest jasna — ale czy mimo to między zawodowymi krwiodawcami nie ma pracujących darmo?

Owszem. Są. Mamy obecnie trzech takich.

— I nigdy nie zawodzą?

— Nigdy...

Wobec tego faktu dziwnie maleją w moich oczach rozmaite społeczne prace rozmaitych »filantropów«. Cóż znaczy tamto wobec ofiarnego oddania własnej krwi.

Marzenna Saryusz-Stokowska.



Z innego brzegu.

Nocą — tak długo szukałem miejsc udeptanych woniami snów
wiosna z otwartych okien, biegnąca miedzami pod las
i Twoje dzieciństwo o horyzont bliżej.

Kto stroił wtedy te kwiaty w kolory miłsze od łez?

Pamiętasz?

Na ogród tak samo opadał zmierzch strugą węższą niż płacz,

Matka swój smutek mięta w rękach,

Gdy żarzył się zachód nad topielą traw.

Matka: przestrzeń, łowiąca tętno serc przez ziemi warstwę,

Matka: imię dalekie tulące się do ust.

*Matka: przeszłość, ten dom osypany błękitem jak piersią,
gdzie świat o ciebie walczył,*

Matka: rozpacz, wypchnięta na odległość snów.

Powiedz,

Czy będą twe myśli modre w roztopie warg?

Wyjm już tę prawdę z pod serca, nie myśl.

Wiem: każdym promieniem wypływa tysiąc skarg

do matki, która nie żyje,

do matki, której już niema.

Niech zamrze już smutek w roztopie białej wiosny.

*Pamiętać, że ludzi nie było, kiedy się burzył twój świat,
nic nie pomoże.*

Wtul głowę w wyrostę na grobach drzewa,

Postuchaj, płynie tam krzywda i gasną pochodnie.

P. Z.

Ś. p. Ks. Prałat Józef Chrzęszcz.

Dnia 1 sierpnia b. r. w Tarnowie zmarł nagle przy pracy w kancelarii Redakcji »Nasza Sprawa«, na aneuryzm serca nieodżałowanej pamięci Ks. Józef Chrzęszcz. Urodzony w 1884 roku, po ukończeniu szkół i Seminarjum duch. zaznaczył się, jako wybitny pracownik i działacz, zwłaszcza nad duszami młodzieży. Szereg lat będąc dyrektorem Seminarjum Nauczycielskiego w Tarnowie, Prezesem Związku Sodalicyj Marjańskich, oraz Redaktorem pisma: »Cześć Marji«, porządkował, prowadził i wyrabiał młodzież na wybitne jednostki pełne poświęcenia dla sprawy Kościoła i Państwa. Nauczycielki z jego seminarjum są to wybitne pionierki oświaty, rozszerzające ją na najdalsze krańce całej Polski. Sam troszczył się i odbywał uciążliwe podróże do Kuratorów szkolnych, byle tylko najbiedniejszym swoim abiturjentkom wyrobić posady. Jego wysmukła, pochylona postać, twarz o wyrazie wielkiego uduchowienia, oraz pogody i dobroci, dobrze znaną była delegatkom z całej Polski na Zjazdach Sodalicyjnych. O Nim można powiedzieć: »Przeszedł dobrze czyniąc«. — Cześć Jego nieodżałowanej pamięci!

Od Redakcji.

»Dziś i Jutro« rozpoczyna 12 rok swego istnienia. Po wywczasach wakacyjnych witamy współpracowników i młodzież, zapraszając do dalszego czynu autorskiego. Wakacje przyniosły nam kilku wybitnych nowych współpracowników, z którymi zapoznają się nasi czytelnicy już w tym numerze.

Manuskrypty prosimy uprzejmie nadsyłać do 25 każdego miesiąca. Nie zwracamy ich, chyba na wyraźne życzenie.

Prosimy naszych czytelników, zdobywać nowych abonentów, co wpłynie niezawodnie na dalsze obniżenie ceny pisma.

W następnym numerze ogłosimy nagrody przyznane szkołom i klasom, które najwięcej egzemplarzy abonowały.

Z administracji.

Dzięki obniżonej cenie wydawnictwa pisma możemy w tym roku pobierać jako roczną prenumeratę, zniżoną opłatę na 6 złotych. Ponadto przy zamawianiu większej ilości egzemplarzy przyjmujemy dalsze ulgi, — czy to w cenie, czy w dodawaniu jednego numeru gratisowo.

Recenzje.

A. Dorabiała. Marja Skłodowska-Curie i Piotr Curie. Nakł. Św. Wojciecha. 1935. Biblioteczka przyrodniczo-geograficzna, st. II. Nową tę monografię, w której na tle obszernie dość ujętego materiału biograficznego znajdzie młodzież starsza jasny i nietrudny rys nauki o promieniotwórczości, warto wprowadzić jako lekturę do szkoły. Wielcy ludzie i wielkie dzieła nie tylko kształcą umysł, ale dodadzą i woli hartu do niezrażania się trudnościami. — Zaprawdę „tylko w trudzie na stał się krzepką hartuje“ i ludzie — i dzieła nieśmiertelne. A prztem któż lepiej, niż polska młodzież, znać powinien postać i dzieło naszej wielkiej rodaczki?

Z. Bohuszewiczówna. J. H. Fabre. Nakł. Św. Wojciecha. 1935. Biblioteczka przyrodniczo-geograficzna, st. II.

Bywają ludzie wielcy — tak wielcy, że aż niedostępni ogółowi; ale bywają i wielcy, a bliscy, co nie onieśmielają, lecz przeciwnie — przyciągają z nieprzepartą siłą ku sobie i ku ideom, którym poświęcili życie. Do tych ostatnich należy znany ogólnie z pism swych Fabre. Wielki w prostocie serdecznej swego serca, w szerokości i głębi umy-

ślu, co ścisłość łączy przedziwnie z poezją. Z właściwym sobie cichym entuzjazmem pokonywa kolejno wszystkie przeszkody na drodze do umiłowanego nad wszystko celu — odkrycia prawdy. Poznanie takiego człowieka — to nawiązanie przyjaźni dobrej na jasne i ciemne chwile życia, takiego przyjaciela warto dać młodzieży!

B. Dyakowski. O świstaku. Nakł. Św. Wojciecha. 1935. Biblioteczka przyrodniczo-geograficzna, st. I. Niejedno z młodzieży zna napewno przemile opowiadanie tegoż autora „o świstaku, co za życia w muzeum mieszkał“. Nowa książka jest rozszerzeniem tego opowiadania, uwzględnia ona życie świstaka na halach i turniach, dzieje Muzeum Tatrzańkiego i wreszcie bardzo ciekawe dzieje idei ochrony zwierząt na przykładzie świstaka. Stanowi bardzo dobrą lekturę dla kl. I gimn.

W numerze majowym zamieściliśmy kilka słów o najnowszym roczniku Ochrony Przyrody — teraz zwracamy jeszcze uwagę wszystkich interesujących się tą sprawą na Kwartalny Biuletyn Informacyjny, wydawany również w Krakowie, Lubicz 46, a zawierający wszelkie sprawy bieżące ochrony przyrody w Polsce i zagranicą.

Musimy je poznać. Opowiadanie o zwierzętach opracowała z angielskiego K. Treterowa. Lwów. Nakł. Macierzy Polskiej. 1935. Cena 20 gr. Mimo bajecznie niskiej ceny, dla uprzystępnienia jaknajszerszym rzeszom czytelników, niewielka, 54 stronowa książeczka zawiera treść dobrą, dość urozmaiconą, a przedewszystkiem czerpaną z życia. Niejedno dziecko zbliży ona jeszcze bardziej do zwierząt — a może i niejedno, czasem nieświadome, okrucieństwo wobec tych prawdziwych naszych przyjaciół usunie. Warto ten mały prezent zrobić każdemu polskiemu dziecku.

Ks. Dr. A. Żychliński: „Pełnia umiejętności Świętych“. (1 zł.) Nakład św. Wojciecha.

Krótkie, a treściwe, zwięzłe wskazówki dla osób, które już zrozumiały ogromne walory pracy nad wyrobieniem własnego charakteru.

Podbić świat dla idei Chrystusowej, może tylko ten, który stał się panem i władcą siebie samego.

Roczniki »Dziś i Jutra« z dawnych lat są do nabycia w Redakcji: Kraków, Starowiślna 11

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.

Numer pojedynczy 0^o60 zł.

K o n t o P. K. O.: „Dziś i Jutro“, Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków. ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie.